

Feliks, rzecz zrozumiała, przez cały czas mego pobytu w więzieniu przyjąć do mnie na widzenie nie mógł, bo byłby natychmiast aresztowany.

Widzenie odbyło się na parterze koło kancelarii w specjalnie na to przeznaczonym pokoju w obecności żandarma-wachmistrza. Pokój ten podzielony był na dwie części dwiema równoległymi żelaznymi ścianami, odległymi jedna od drugiej nie mniej niż o metr. Górne części tych ścian zaopatrzone były w gęstą drucianą siatkę. Więzień stał z jednej strony żelaznych ścian, a odwiedzająca go osoba — z drugiej. Tuż obok więźnia siedział wachmistrz, który przysłuchiwał się każdemu słowu i wówczas, gdy rozmowa zaczynała wykraczać poza sprawy rodzinne, przerywał ją. Widzenie trwało najwyżej 15 minut.

Ze słów ojca dowiedziałam się, iż ma on znowu z mojego powodu wielkie przykrości w biurze, w którym pracował, oraz ze strony macochy. Zgnębiło mnie to strasznie i całą noc po tym widzeniu nie spałam. A ojciec na jutro po naszym spotkaniu pisał samokrytycznie do Felka: „...Nażyłem się, napracowałem, naciерpiałem. Dążenia moje często bywały poziome, idiotyczne. Gdybym teraz rozpoczynał życie, byłoby ono naturalnie inne. Zosia mnie podniosła, uszlachetniła. Odtąd stałem się prawdziwym człowiekiem”.

Choć nie dość uświadomiony i nie orientujący się w marksizmie, ojciec mój stał się zwolennikiem idei, o którą walczyliśmy oboje z Feliksem.

W czasie widzenia ojciec przyniósł mi „wałówkę” oraz potrzebne mi rzeczy. Niestety, nie miałam żadnej możliwości podzielenia się tymi prowiantami z towarzyszami niedoli.

Podczas mego pobytu w X Pawilonie miałam jeszcze kilka widzeń z ojcem. Za każdym razem wracałam po nich do celi z ciężkim sercem.

Odwiedził mnie także adwokat Skokowski, który na prośbę ojca zajął się moją sprawą. Czynił on starania

o uwolnienie mnie za kaucją, motywując to moją ciążą i tym, że mój pobyt w więzieniu źle odbija się na dziecku. Ale władzom więziennym obce były uczucia ludzkie i odmówiły wypuszczenia mnie przed sprawą za kaucją.

Skokowski poczynił też starania o przeniesienie mnie z X Pawilonu na „Serbię”, gdzie personel więzienny był kobiecy. Nie sprzeciwiałam się temu — choć pobyt w X Pawilonie uważałam dla siebie za zaszczyt — chciałam bowiem skomunikować się z Franką Gutowską i umówić się z nią co do dalszych naszych zeznań. Starania Skokowskiego o przeniesienie mnie do więzienia kobiecego zostały uwieńczone powodzeniem i 20 marca 1911 roku przewieziono mnie na „Serbię”.

Na „Serbii”

Na „Serbii” było zaledwie 6 czy 7 cel dla kobiet oskarżonych o „przestępstwa” polityczne. Cele te, jedno- lub dwuosobowe, mieściły razem 13 kobiet. Znajdowały się na pierwszym piętrze, z lewej strony korytarza. Były one wąskie i długie, przy tym ciemne i wilgotne.

W wąskiej ścianie naprzeciwko drzwi, wiodących do celi, wysoko u góry było małe okienko o jednej zakratowanej szybie; zakryte było w dodatku tak zwanym „koszem”, z pozostawionym tylko u góry niewielkim otworem, przez który widać było mały skrawek nieba. Okienka te wychodziły na niewielki ogródek przylegający do „Serbii”, a z innych stron ogrodzony wysokim murem i ścianą bez okien sąsiedniego wielopiętrowego domu. W ogródku tym odbywały się spacerki więźniarek. Z celi nie było widać tego ogródka — zasłaniał go „kosz”.

Wzdłuż każdej celi przymocowane były do jednej ze ścian dwie „legimaty” (żelazne ramy, obite szarym płó-

nem), które służyły za łóżka, a w dzień za siedzenie (krzesel nie było, był jeden taboret, na którym stały miednica i dzbanek z wodą). Pomiedzy legimatami przy ścianie stał przymocowany do niej mały żelazny stolik z żelazną półką pod nim. Półka ta to było jedyne miejsce, gdzie można było trzymać naczynia (czajnik i kubki do herbaty, talerzyk itd.), a także skąpe produkty, jakimi rozporządzały więźniarki.

Spało się głowami do stolika. Było to nieprzyjemne, gdyż w celach było mnóstwo myszy, które nocą dobiegały się do chleba i innych produktów leżących na półce pod stołem. Przyniesiono nam z wolności pułapkę, w którą co noc łapało się po kilka myszy.

Cele na „Serbii” były cały dzień zamknięte z wyjątkiem jednej godziny około południa, kiedy wszystkie więźniarki wychodziły do ogródka na wspólny spacer. Poza tym otwierano cele na stuk więźniarek, by dać im możliwość pójścia do toalety, nabrania wody do dzbanka, wylania z wiaderka brudnej wody.

Cele więźniarek politycznych sprzątały więźniarki kryminalne — co dzień wycierały mokrą ścierką drewnianą nie malowaną podłogę; jedna z więźniarek kryminalnych przynosiła też politycznym gorącą wodę na herbatę.

Na naszym korytarzu pilnowały więźniarek kolejno dwie oddziałowe dozorkynie, które zmieniały się co drugi dzień i dyżurowały całą dobę.

One to otwierały i zamykały cele, jak również żelazne drzwi, wiodące z korytarza na schody. One prowadziły więźniarki do kancelarii na badania, na widzenie itd.

Jedna z nich — starsza — była niezłą kobietą; nie było z nią utarczek. Druga — młoda — jak tylko mogła, dokuczała więźniarkom, szpiegowała je przez „judasza” we drzwiach, nieraz, podczas spaceru — aby się przypodobać pomocnikowi naczelnika — robiła w celach rewizję. Raz podpatrzyła, widząc, że coś piszę i ni stąd, ni zowąd wpadła do celi i zaczęła robić rewizję w mojej obecności.

ci. Protestowałam, ale to nie pomogło. Nie ograniczyła się do rewizji rzeczy, lecz próbowała zrewidować mnie osobiście. A właśnie napisałam krótki listeczek w sprawach dotyczących jednej z więźniarek politycznych do Stefanii Sempołowskiej, która, jak wspomniałam, opiekowała się więźniami politycznymi. Tego dnia miałam mieć widzenie i liczyłam, że uda mi się listeczek ten wręczyć ojcu, by oddał go Sempołowskiej. Po napisaniu listeczek ten schowałam na piersiach. Teraz, gdy oddziałowa chciała przeprowadzić osobistą rewizję, szybko go wyjęłam i zaczęłam drzeć na drobniotkie kawałki. Czego nie zdążyłam podrzeć, włożyłam do ust i połknęłam, pozostawiając ją z kwitkiem.

Kiedy mnie przywieziono na „Serbię”, znajdowały się tam wśród więźniarek politycznych dwie socjaldemokratki. Jedną z nich była Władysława Guzowska, dzielna młoda robotnica, która zajmowała się partyjną techniką i nieraz z polecenia Józefa przewoziła przez granicę literaturę i broń. Po kilku miesiącach została skazana na wieczne osiedlenie na Syberii i zesłana do guberni jenijskiej¹. Drugą towarzyszką była Franciszka Gutowska z mojej sprawy.

Siedziały tam także trzy członkinie PPS z Frakcji Rewolucyjnej: dwie robotnice (młoda — Walczakówna — i druga, niemłoda już, której nazwiska nie pamiętam) oraz inteligentka Gliksonówna, oskarżona o udział w jakichś terrorystycznych aktach, przewieziona na „Serbię” z X Pawilonu.

Przy mnie już osadzono na „Serbii” socjaldemokratkę — robotnicę Marię Grzelakową (skazaną później na wieczne osiedlenie na Syberii). Z X Pawilonu przywieźli Różę Kagan, członka SDKPiL.

¹ Tu ją zastała Rewolucja Październikowa. W czasie wojny domowej wraz z mężem, Stanisławem Słomczyńskim, pomagała partyzantom w walce z białogwardzistami. Schwytana przez kołczakowców, skazana została na śmierć, ale udało jej się zbiec.

Widzenia na „Serbii” odbywały się raz na tydzień, w sobotę, podobnie jak w X Pawilonie, poprzez dwie żelazne siatki, z tą tylko różnicą, że strażnik przechadzał się między siatkami i kontrolował rozmowy.

Ojciec mój miał słuch przytępiony i poprzez dwie siatki nic nie słyszał, zwłaszcza że jednocześnie rozmawiano przy kilku okienkach. W związku z tym adwokat mój wystarał się dla niego o pozwolenie na widzenia przez jedną siatkę.

Umożliwiło mi to korespondencję z Felkiem bez jakiegokolwiek cenzury.

Przez cały czas mego pobytu w X Pawilonie otrzymałam od Feliksa tylko dwie krótkie karty wysłane oficjalnie, zmienionym charakterem jego pisma, aby w urzędzie żandarmerii nie poznali, kto był ich autorem.

Jedna z nich była z widokiem Hali Gąsienicowej, gdzie spędziliśmy z Feliksem jeden dzień podczas naszej wycieczki do Morskiego Oka.

Z X Pawilonu nie miałam żadnej możliwości wysłania Feliksowi listu nielegalnie, bez cenzury. Pisałam więc do niego drogą oficjalną pod okiem żandarma. Adresowałam listy na umówione jeszcze w Krakowie zmyślane nazwisko (Bronisław Karłowicz) — na adres Uniwersytetu Jagiellońskiego (Collegium physicum). Listy te przechodziły cenzurę żandarmską, pisać więc można w nich było tylko o mało znaczących rzeczach.

Po przeniesieniu mnie na „Serbię” i otrzymaniu widzeń z ojcem przez jedną kratę warunki mego korespondowania z Felkiem radykalnie się zmieniły.

Feliks przysyłał swoje listy na adres drukarni „S. Orgelbranda i Synów”, gdzie pracował mój ojciec, na jego nazwisko, a ojciec mój na widzeniu podawał mi niepostrzeżenie przez dziurkę w gęstej kracie list Felka zwinięty w cienki rulonik. W ten sam sposób wręczałam ojcu moje listy do Feliksa, które ojciec wysyłał do Kra-

kowa na uprzednio wskazany adres fikcyjnego studenta Bronisława Karłowicza.

Również tą drogą wysyłane listy musieliśmy pisać ostrożnie, używając ezopowego języka, bo i one mogły się wysypać.

Pierwszy przesłany mi w ten sposób list Felka datowany był 6 kwietnia 1911 roku. Pisał mi w nim mało, motywując to brakiem czasu, tym, że miał „gorączkową robotę” i nie spał dwie noce. Donosił mi w tym liście, że „w rodzinie” (czyli w partii) znowu trochę pomyślniej, uradował mnie wiadomością, że „wrócił Sewcio”, to znaczy Sewer, aresztowany wraz ze mną. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że nie tylko Sewer, ale i inni z wyspy na Górczewskiej (Tadeusz, Stach, Marysia) zostali zwolnieni. Pozostałyśmy więc w więzieniu tylko my z Franką. O przyczynie tego niespodziewanego zwolnienia Sewera i innych dowiedziałam się dopiero jesienią 1912 roku w Krakowie — po mojej ucieczce z Syberii — od Stefana Bratmana.

A rzecz przedstawiała się następująco: Tadeusz (Franciszek Soszyński), aby się prędzej wydostać z więzienia, obiecał żandarmom na śledztwie, iż będzie udzielał „ochranie” wszelkiego rodzaju informacji o SDKPiL i jej członkach. Aby ukryć jego zdradę, żandarmeria zwolniła z więzienia prócz niego trzech innych towarzyszy, u których podczas rewizji nie znaleziono niczego nielegalnego.

Zwolniony z więzienia Tadeusz przez kilka miesięcy, według jego słów, dawał „ochranie” tylko ogólnopoli-tyczne wiadomości o SDKPiL, ale nie wysypał nikogo. Niezadowolona z tego „ochrana” zaczęła mu deptać po piętach i coraz natarczywiej domagać się od niego konkretnych danych o ludziach. Przyparty do muru, nie chcąc — jak mówił później — sypać towarzyszy, a bojąc się zemsty ze strony „ochrany”, Tadeusz zwrócił się do Marcina (W. Matuszewskiego), kierującego od stycznia

1911 roku robotą partyjną w Warszawie, przyznał się i prosił go o pomoc w wyrwaniu się z rąk „ochrany”, w przejściu granicy i wyjeździe do Krakowa. Swą haniebną obietnicę służenia „ochranie” Tadeusz motywował wyjątkowo trudnymi warunkami rodzinnymi, w jakich się znajdował w chwili aresztu. Istotnie, kilka dni przedtem żona Tadeusza, która w kiosku ulicznym sprzedawała gazety, spaliła się (widać od żelaznego piecyka). Po areszcie Tadeusza jego małoletnia córeczka została bez opieki.

Rzeczywiście wielkie nieszczęście spotkało Tadeusza, ale postępku jego nie mogło to usprawiedliwić.

Marcin ułatwił Tadeuszowi wyjazd do Krakowa, gdzie zgłosił się on od razu do Józefa.

Józef kilkakrotnie szczegółowo badał Tadeusza i własnoręcznie zapisał jego zeznania w małym zeszytiku, który już po areszcie Józefa dał mi do przeczytania w Krakowie Stefan Bratman. Stefan dodał przy tym, że Józef był zdania, iż Tadeusz opowiedział mu całą prawdę, że istotnie Tadeusz dawał „ochranie” tylko ogólnopolityczne informacje o partii, a nikogo nie wsypał. Józef pomógł także Tadeuszowi znaleźć za granicą robotę.

W roku 1912 czy też w 1913 ZG wyłonił sąd partyjny w sprawie Tadeusza. W skład jego wchodził: Florian, ja i — jeśli mnie pamięć nie myli — Zakonnik. Badaliśmy kilkakrotnie Tadeusza. Dla mnie pozostał niewyjaśniony jeden moment w jego zeznaniach. Jak wspomniałam wyżej, na zebraniu na Górczewskiej po załatwieniu spraw organizacyjnych mieliśmy omówić sprawę artykułu „Prawdziwa jedność czy pozorna” i ustosunkować się do niego. Nie włączyliśmy jednak tego punktu od razu do porządku dziennego zebrania; nie przystąpiliśmy też jeszcze do jego omawiania, gdy wtargnęła policja.

Tymczasem w moim akcie oskarżenia (który wręczono mi 14 sierpnia 1911 roku) było powiedziane, że na zebraniu na Górczewskiej omawialiśmy sprawę artykułu

„Prawdziwa jedność czy pozorna”, sprawę przyłączenia lewiczowców do SDKPiL. Zachodziłam w głowę, skąd „ochrana” mogła wiedzieć o tym. Akt oskarżenia wyraźnie świadczył o tym, że w Warszawie był prowokator. A mógł nim być tylko ktoś z tych, którzy wiedzieli, że na mającym się odbyć na Górczewskiej zebraniu ma być omawiana sprawa wyżej wymienionego artykułu. (O uwolnieniu Tadeusza i okolicznościach z tym związanych — będąc w więzieniu — nie wiedziałam). Napisałam więc Józefowi chemicznie (cytryną) w jednym z listów wręczonych memu ojcu przez siatkę o mym niepokoju i także o tym, kto spoza obecnych na zebraniu na Górczewskiej wiedział, że sprawa owego artykułu miała być omawiana na zebraniu w dniu 27 grudnia 1910 roku.

Uczestnicząc w sądzie nad Tadeuszem zadałam mu pytanie, czy to on poinformował „ochranę” i żandarmów o punkcie porządku dziennego zebrania, który miał być omawiany na Górczewskiej. Tadeusz dał odpowiedź przeczącą.

(Dodam, że w ciągu kilku lat, w ciężkich warunkach okresu reakcji, blisko pracowałam z Tadeuszem; miałam do niego zaufanie i ciężko przeżywałam to, że tak splamił swoje dobre imię rewolucjonisty). Sąd partyjny wydał wyrok wykluczający Tadeusza z partii — z prawem ponownego wstąpienia do niej, kiedy będzie legalna.

Tyszka dowiedziawszy się o wyroku oświadczył, iż — jego zdaniem — jest on zbyt surowy.

Słyszałam później, że po powstaniu KPRP w krótkim okresie jej półlegalnego istnienia Tadeusz jako jej członek pracował w Zagłębiu Dąbrowskim.

*

24 lutego Feliks zwrócił się do Zarządu Głównego z wnioskiem o wydelegowanie go do Królestwa w celu objazdu organizacji partyjnych. Wniosek ten nie został

widać przez ZG przyjęty, bo 14 marca w liście do Tyszkii Feliks pisał: „Wobec stanu naszej organizacji w kraju, wobec braku kontaktu ZG z nią, wobec stanu finansowego, wobec absolutnego braku odpowiedniego zajęcia dla mnie za granicą, jeszcze raz zwracam uwagę Waszą na konieczność mego pobytu w kraju. Ewentualność wyspy niewielka by była, gdybym z organizacją się nie stykał, a tylko z poszczególnymi jednostkami... Przy takich (tzn. obecnych — Z. D.) warunkach pobyt mój za granicą jako urzędnika partyjnego traci wszelki *raison d'être*”².

Pobyt mój w Krakowie będzie jałowy dla partii, nieznosny skutek tego dla mnie osobiście i niewątpliwie oddziała ujemnie i na towarzyszy, którzy są lub przyjeżdżają do Krakowa”³.

W liście z Krakowa z dnia 13 kwietnia 1911 roku — który podał mi na widzeniu ojciec przez oczko gęstej siatki — Feliks donosił mi, że zgodnie z życzeniem Warszawskiego i Tyszkii miał się przenieść na stałe do nich do Berlina; do Krakowa przyjechał już ze Szwajcarii Florian, aby zastąpić go przy pracy. Tak się jednak złożyło, pisał Feliks, że jedzie on tego dnia (13 kwietnia) do Berlina na krótko, a potem wróci do Krakowa i będzie zapewne musiał zostać tam na czas dłuższy.

Z tego listu Felka widać, że w pierwszych dniach kwietnia — po objęciu przez Stefana jego pracy w Krakowie — był Feliks przez jakiś czas nielegalnie w sprawach partyjnych w Warszawie. „Za moją wizytę niespodzianą u matysi (to znaczy w Warszawie — Z. D.) — pisał mi w sposób konspiracyjny — oberwałem zdrowo i będę musiał skwitować z podobnych wypraw. Ty jednak, Zosiu miła moja, nie gniewasz się na mnie za tę wycieczkę, nieprawdaż? Tu siedzieć ciężko, chociaż uznaję, że trzeba. Chciałbym strasznie ruchu, życia, chciałbym z szarzyzny krakowskiej się wyrwać...”

² (Franc.) — rację bytu.

³ CAP IML, f. 76, 1, nr 608.

I dodaje: „Zresztą to wszystko głupstwo, abyś Ty tylko była silna i zniosła wszystko. Nieraz, gdy myślę o Tobie i dziecku — pomimo wszystko i wbrew wszystkiemu — radość mnie ogarnia jakaś rzewna, dziwna...”

Będąc w pierwszych dniach kwietnia 1911 roku nielegalnie w sprawach partyjnych w Warszawie, Feliks zaszedł do mieszkania mojego ojca, aby się zapoznać z moją rodziną. Ze względów konspiracyjnych przedstawił się jednak ojcu nie jako Feliks Dzierżyński, lecz jako jego brat. 9 kwietnia ojciec był u mnie na widzeniu, opowiedział mi o tej wizycie i widać z rozmowy ze mną domyślił się, że był u niego nie brat Feliksa, ale on sam. Ojciec mój konspiracyjnie (prędko nauczył się konspiracji!) napisał o tym Felkowi nazajutrz po swej bytności na „Serbii”.

Wracając 9 kwietnia z Królestwa do Krakowa, Feliks po przejeździe granicy w liście pisanym w wagonie między Szczakową a Trzebinią donosił Tyszce: „A teraz jeszcze co do mego wyjazdu do kraju. O ile się rozpatrzyłem, mógłbym w Warszawie siedzieć — stykając się tylko z jednostkami — zupełnie bezpiecznie z ogromnym pożytkiem dla sprawy w zakresie powiązania ZG z krajem [pod względem] finansowym i organizacyjnym. Proszę Was, naznaczcie dzień narady naszej, a przyjadę, o ile rzeczywiście taka narada jest potrzebna, o ile ona będzie mogła załatwić to, czego za pomocą listów nie można, i o ile rzeczywiście można się spodziewać, że narada taka wspólna doprowadzi do porozumienia. Wasz upór bowiem, z którym obstajecie, abym pozostał tu, pomimo całego szeregu moich argumentów rzeczowych — nie rokuje pomyślnych rezultatów takiej naradzie. Uporem tylko swoim i ultimatum⁴ popełniacie gwałt nadęną”.

⁴ Tyszka zagroził, że wycofa się z Zarządu Głównego w razie wyjazdu Feliksa do Królestwa.

W tymże liście Feliks pisze, że musi wyjechać do Katowic, by porozumieć się z nowym „szwarcownikiem” w celu załatwienia transportu literatury, jak również w sprawie pieniędzy na ucieczkę dla towarzyszy, znajdujących się na Syberii na osiedleniu, oraz w sprawie pieniędzy na legalne pismo⁵.

Znowu wypadło Feliksowi pozostać w Krakowie, ale — jak widać z jego korespondencji z Tyszką — od czasu do czasu odwiedzał organizacje partyjne w Królestwie.

Tak na przykład na początku czerwca był na konferencji międzydzielnicowej w Częstochowie.

W drugiej połowie lipca Feliks znowu był nielegalnie w Królestwie, co wynika z jego listu z dnia 30 lipca ze Szczakowej (już w Galicji), w którym zawiadamia Tyszkę, że już wrócił⁶.

Najprawdopodobniej w połowie września 1911 roku Feliks odwiedził jedną z nielegalnych organizacji w Królestwie, bo list jego z 19 września do mojego ojca napisany jest tak zmienionym charakterem pisma, że najwiśdoczniej wysłany był z Królestwa.

W celu osobistego porozumienia się z Zarządem Głównym Feliks parokrotnie przyjeżdżał do Berlina. Między innymi był tam w październiku 1911 roku.

Sprawy wewnętrzpartyjne SDPRR i SDKPiL

Jako członek KC SDPRR Feliks w dalszym ciągu żywo interesował się wewnętrznymi sprawami partii rosyjskiej. W liście z dnia 13—14 lutego 1911 roku do Tyszki

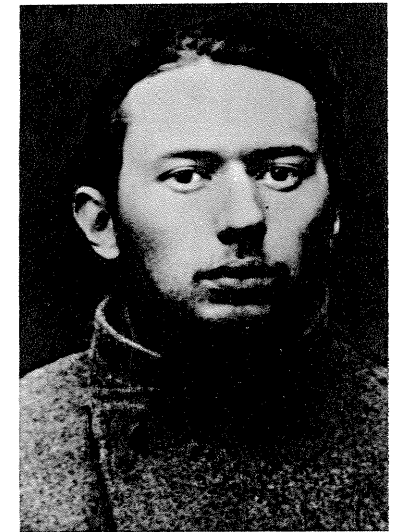
⁵ CAP IML, f. 76, op. 1, nr 635.

⁶ CAP IML, f. 76, op. 1, nr 707, ark. 1

Wanda Kral



Zdzisław Szeryński
(w późniejszym okresie)



Franciszek Górski
— „Tadeusz”

Na „Serbii” (ciąg dalszy)

Na „Serbii” na prośbę moją i Franki Gutowskiej umieszczono nas w jednej celi. Nie traciliśmy czasu. Czytaliśmy wydane legalnie w polskim przekładzie w latach rewolucji 1905—1907 prace Marksa i Engelsa: „Od utopii do nauki”, „Praca najemna i kapitał”, książkę K. Kautskiego: „Nauki ekonomiczne K. Marksa”, a dla odpoczynku — beletrystykę polską.

Podczas wspólnego spaceru więźniarek politycznych zazwyczaj wygłaszałam pogadanki na tematy polityczne dla kilku interesujących się tymi sprawami towarzyszek.

Skracałyśmy sobie także czas pożyteczną pracą ręczną: uszyłyśmy wyprawkę dla oczekiwanego przeze mnie maleństwa. Pomogła mi w tym Franka.

Macocha dostarczyła mi materiału na wyprawkę, w tym miękką włóczkę, z której zrobiłam szydełkiem dwa ciepłe kaftaniczki. Były one, jak się okazało, zbawienne w warunkach zimnej i wilgotnej celi.

Jedzenie na „Serbii” było bardzo marne i niedostateczne. Ojciec ze względu na mój stan wystarał się o pozwolenie dostarczania mi z wolności obiadów. W pobliżu „Serbii” mieszkał stary członek SDKPiL, Jan Rosół. Staruszek dostarczał niektórym więźniom na „Pawiak” i „Serbię” obiadów z pobliskiej restauracji. On też i mnie zaopatrywał w obiady, które zjadałyśmy wspólnie z Franką.

Około połowy maja, jak już wspomniałam, przywieziono na „Serbię” z X Pawilonu socjaldemokratkę Różę Kagan i umieszczono ją w celi sąsiadującej z naszą. Wkrótce okazało się, że Kaganówna była chora umysłowo. Godzinami w dzień czy w nocy waliła taboret w drzwi albo śpiewała tragicznym głosem rozdzierające duszę pieśni. Stwarzało to atmosferę nie do zniesienia.

Zażądałyśmy od naczelnika więzienia, aby przewieziono ją do szpitala dla umysłowo chorych. Ale władze wię-

zienne nie spieszyły się i Kaganówna pozostała na „Serbii” prawie do końca czerwca.

Pewnego dnia, gdy szłyśmy na spacer, zaczęła miotać na mnie oszczerstwa i omal nie zrzuciła mnie ze schodów. Było to 21 czerwca, a nazajutrz przeniesiono mnie o piętro czy też dwa wyżej do więziennego lazaretu, gdzie 23 rankiem urodziłam syna, któremu nadałam imię Jan.

Lazaret składał się z 2 czy 3 pokoi i łazienki. Położono mnie do jednego z tych pokoi, dość dużego i słonecznego, o dwóch zakratowanych oknach i matowych szybach, lecz nie zasłoniętych jak cele żelaznym „koszem”. Okna te wychodziły na ulicę Dzielną. Kiedy dla wentylacji pokoju uchylano okno, widziałam przeciwległą stronę ulicy i idących po niej przechodniów, strop nieba, akacje, maleńki ogródek i dzieciarnię bawiącą się na podwórku przeciwległego domu.

Dziecko urodziło się przedwcześnie. Było tak wątłe i chudziutkie, że wszyscy otwarcie mówili, że nie wyżyje. Na trzeci dzień po urodzeniu dostało konwulsji i myślałam, że już umiera.

Dopiero po kilku dniach przyszedł lekarz więzienny, ale nie wchodząc wcale do pokoju i nie oglądając dziecka rzucił od progu: „W więzieniu nie miejsce dla dzieci”.

Konwulsje powtórzyły się po kilku dniach. Dziecko było bardzo słabe, a znikąd nie miałam pomocy ani rady. Zawiadomiłam tylko listownie drogą oficjalną ojca o chorobie dziecka. W kilka dni po urodzeniu dziecka niespodzianie pozwolono macosze przyjść do mnie na widzenie i wpuszczono ją do lazaretu. Była ona przerażona chudością niemowlęcia, ale tak jej się spodobało, że narysowała jego delikatny profil. Rysunek ten został posłany Felkowi do Krakowa.

Macocha przyniosła ze sobą maleńki grypsik od Felka, który wręczyła mi niepostrzeżenie, chociaż pilnowała nas dozorczytni.

W liściku tym Feliks, powiadomiony już o stanie i chorobie niemowlęcia, dodawał mi otuchy; wierzył, że dziecko będzie żyło i mimo wszystko wyrośnie zdrowe.

W kilka dni potem do pokoju, w którym leżałam, sprowadzono na półg kryminalną, która zabiła swoją pięcioletnią córeczkę i została skazana za to na 12 lat katorgi. W ciągu dwóch dni chodziła ona bez przerwy tam i z powrotem po pokoju, powtarzając przy każdym kroku słowa: „zmienia, nie zmienia” (wyrok) i kiedy wypadały słowa: nie zmienia, załamywała rozpaczliwie ręce.

Sledziłam pilnie jej kroki i drżałam, kiedy podchodziła do kołyski, w której leżało moje dziecko, bojąc się, by mu nie zrobiła czegoś złego.

Chodziła do ostatniej chwili i ledwo zdążyła się położyć, gdy dało się słyszeć kwilenie nowo narodzonej dziewczynki.

Zdumiał mnie stosunek tej zbrodniarki do nowo narodzonej córeczki — jej ogromna miłość do niej i tkliwość. Nie mogłam zrozumieć, jak kobieta, która zabiła swą pierwszą córeczkę, bijąc ją systematycznie i znęcając się nad nią, może kochać do tego stopnia drugie dziecko.

Okazało się, że pierwsze jej dziecko było nieślubne i widać rodzina czy późniejszy mąż tak dokuczali jej z powodu tego nieszczęsnego dziecka, że postanowiła je zgładzić. Oto do czego doprowadzały stosunki panujące w ustroju kapitalistycznym!

Po trzech tygodniach pobytu w lazarecie przeniesiono mnie do maleńkiej celi na oddziale, na którym siedziały kryminalne — nasz bowiem oddział odnawiano. Byłam tam zupełnie oderwana od towarzyszek. Po kilku dniach wróciłam jednak z moim maleństwem do celi, w której siedziałam poprzednio. Wydała mi się ona jeszcze bardziej ponura, ciemna i wilgotna niż przedtem. Siedzieliśmy w dalszym ciągu z Franką, która z największą tkliwością odnosiła się do mojego dziecka.

Byłam rada, że znów nie jestem sama, że widuję się i rozmawiam z towarzyszkami (w lazarecie tylko raz jeden pozwolono France odwiedzić mnie).

Zacząłam znowu chodzić na widzenia z ojcem i odbierać liściki od Felka.

Ale dla maleństwa pobyt w celi był szkodliwy. Po paru dniach zaziębiło się, zaczęło kichać i kaszleć.

Nie miałam żadnego doświadczenia w pielęgowaniu niemowląt, poprosiłam więc ojca o odpowiedni podręcznik. W więzieniu nie było u kogo zasięgnąć rady. Lekarz więzienny, jak już wspomniałam, nie tylko nie obejmował dziecka, ale za każdym razem, kiedy go wzywałam, stojąc na progu celi pouczał mnie, że w więzieniu nie ma miejsca dla dzieci.

A tymczasem mimo skrupulatnego trzymania się rad zawartych w książce dziecko nieustannie chorowało.

Powstała też kwestia dokarmiania dziecka, ponieważ miałam mało pokarmu. A w warunkach więziennych nie było to łatwe.

Ojciec przyniósł mi blaszany krążek na nóżkach, który zakładało się na szkiełko lampki. Na krążek stawiało się garnuszek z wodą i płatkami owsianymi lub z mlekiem. „Kuchnia” taka nie należała do wygodnych. Po pierwsze lampka z braku dostatecznego dopływu powietrza często kopciła i napelniała i tak duszną celę nieznośnym zapachem nafty i kopciem. Po wtóre, jeśli na chwilę odwróciłam oczy od garnuszka, by zająć się dzieckiem, kipiący kleik zalewał płomień i lampka gasła. Wieczorem w ciemności trudno było i dziecko przewinąć, i lampkę oczyścić, by ją znowu zapalić.

Jednak jakoś dawałam sobie radę.

Gdy dziecko było syte i zdrowe, uśmiechem i szczerotem dawało mi tyle radości, że nagradzało to wieczory pełne mąk i rozpacz. W ciężkiej atmosferze więziennej, w martwej ciszy wieczornej śmiech dziecka był jas-

nym promieniem słońca, przypominał o radości życia.

24 czerwca 1911 roku sprawa moja przeszła z żandarmerii do prokuratora Warszawskiej Izby Sądowej, a 14 sierpnia pojechaliśmy z Janeczkiem i Gutowską karetką więzienną na ulicę Miodową do sądu, gdzie wręczono nam akt oskarżenia.

Oskarżano mnie z § 102 (część I) o należenie do SDKPiL i jej Komitetu Warszawskiego, a także o to, że zajmowałam się wydawaniem „Czerwonego Sztandaru”, brałam udział w zebraniach partyjnych itd.

Gutowską oskarżono o należenie do SDKPiL, chociaż w rzeczywistości nie była jeszcze członkiem organizacji partyjnej, a udzielając swojego adresu dla przesłania materiałów do „Czerwonego Sztandaru” oddała partii pierwszą przysługę.

Główne ustępy aktu oskarżenia nazajutrz po jego otrzymaniu przepisałam i na pierwszym widzeniu z ojcem wręczyłam mu dla przesłania Felkowi.

Akt oskarżenia zaniepokoił i przygnębił mnie bardzo, bo świadczył o tym, iż w samym jądrze organizacji warszawskiej była prowokacja.

Jak już wspomniałam wyżej, z aktu oskarżenia wynikało, że jeszcze przed naszym zebraniem na Górczewskiej „ochrana” wiedziała, że miała tam być omawiana poruszona w numerze 179 „Czerwonego Sztandaru” sprawa połączenia SDKPiL z „umiarkowaną frakcją PPS”. Akt oskarżenia podkreślał również, że „ochrana” zawczasu wiedziała o mającym się odbyć zebraniu na Górczewskiej.

Świadczyło to, jak już powiedziałam wyżej, że wśród najbliższego aktywu organizacji warszawskiej był prowokator. Do tego samego wniosku doszedł Józef, zaznajomniejszy się z przesłanymi przeze mnie ustępami aktu oskarżenia. Zaniepokojony, pisał o tym do Tyszki.

W moim liście do Feliksa z dnia 15 sierpnia czy też w jednym z następnych napisałam mu chemicznie, kto

spośród nieobecnych na Górczewskiej towarzyszy mógł wiedzieć, że na mającym się tam odbyć zebraniu będzie omawiana sprawa wspomnianego artykułu. Pseudonimy tych towarzyszy zaszyfrowałam.

*

2 września 1911 roku zawiadomiono mnie, że sprawa moja i Gutowskiej rozpatrywana będzie 26 września. Została ona jednak odłożona prawie o dwa miesiące.

Wobec zbliżania się terminu rozprawy sądowej, która mogła mnie skazać na osiedlenie na Syberii, i ja, i Feliks zaczęliśmy obmyślać, co zrobić z Jasieńkiem, kiedy będę musiała wyruszyć w drogę.

Macocha nie była w stanie zaopiekować się dzieckiem.

Feliks pragnął bardzo mieć je u siebie i w tym celu zamieszkał nawet w Krakowie z młodym małżeństwem, Bratmanami, w nadziei, że Maria Bratmanowa, która w październiku również powiła syna, będzie mogła doglądać i naszego dziecka. Ale Marylka z wielkim trudem dawała sobie radę ze swoim niemowlęciem, nie było więc mowy o tym, aby mogła wziąć do siebie Jasieńka.

Tak więc oczekiwałam sądu w wielkiej niepewności i niepokoju o dalszy los mojej dzieciny.

Jesienią przeniesiono Frankę Gutowską do sąsiedniej celi, gdzie siedziała ona razem z Marią Grzelakową. Widywałam się więc z nią tylko z rana, gdy cele były otwarte, jak również na spacerze. Zarówno Franka, jak i ja ludziłyśmy się, że po jedenastomiesięcznym prawie pobycie w więzieniu będzie ona na sądzie zwolniona lub też skazana na administracyjne zesłanie.

W drugiej połowie października spadło na nas nowe nieszczęście: Franka zaczęła pluć krwią i lekarz więzienny orzekł, że ma gruźlicę.

Strasznie mnie to przygnębiło. Przy tym ogromnie się pogorszył jej stan nerwowy. Płakała całymi dniami,

a my z Grzelakową byłyśmy bezsilne, nie mogłyśmy w niczym jej pomóc.

Mniej więcej w tym samym czasie otrzymaliśmy wiadomość, że towarzyszką naszą, Władka Guzowska, zesłaną na osiedlenie do kańskiego powiatu guberni jenijskiej, jest bez grosza, bez ciepłej odzieży i obuwia.

Napisałam o tym Feliksowi, który dobrze znał Guzowską z jej nielegalnej pracy. Za jego udziałem Krakowski Związek Pomocy Więźniom Politycznym posłał jej nieco pieniędzy, a organizacja pomocy więźniom w Warszawie wysłała obuwie i odzież.

2 listopada Feliks prosił listownie mego ojca, aby dostarczył mi numery 2 i 3 legalnego organu SDKPiL — tygodnika „Praca”¹. Wkrótce na jednym z widzeń spotkała mnie niespodzianka: ojciec mój wręczył mi przez dziurkę w kratce nie jeden, lecz kilka rulonów. Prócz listu od Felka były w nich dwa numery „Pracy”. Czytaliśmy je po kolei, a potem wypadło nam je zniszczyć, gdyż wręczone były nielegalnie. Gazet i pism — nawet burżuazyjnych — do więzienia nie przepuszczano.

Na początku grudnia ojciec znowu wręczył mi numer naszego tygodnika — który wtedy wychodził już pod inną nazwą: „Nasze Drogi” — a także wycinki z legalnego organu PPS-Lewicy „Kurier Poranny” z interpelacją posłów socjaldemokratycznych w Dumie.

Rozprawa w sądzie

21 listopada odbyła się w Warszawskiej Izbie Sądowej sprawa moja i Gutowskiej. Choć dzień był zimny i słotny, wzięłam ze sobą Janeczka. Przywieziono nas karetką

¹ Pod taką nazwą wychodziła w tym czasie „Trybuna”.



*Zofia Dzierżyńska w więzieniu
— przed zesłaniem na Sybir (1912 r.)*